

Adam i Ewa

Ulica Pstrowskiego? Nie ma Pstrowskiego, przodownicy pracy, którzy prężyli muskuły, budując socjalizm, poszli na śmietnik. Od mięśni ważniejsza okazała się głowa. Dziś znów jest Peowiaków.

Miejski Dom Kultury? Jego miejsce po trwającym kilka lat remoncie zajęło Centrum Kultury. Zmiana, można powiedzieć, raczej o charakterze kosmetycznym w porównaniu do procesu radykalnych przeobrażeń samej substancji i przeznaczenia budynku, które dokonały się wcześniej, zostały narzucone przez czas w przeszłości. Wcześniej, to lata dwudzieste osiemnastego wieku, Zgromadzenie Sióstr Nawiedzenia Najświętszej Marii Panny, czyli klasztor wizytek ze szkołą dla dziewcząt. Jak to prowokacyjnie brzmi: szkoła dziewcząt! Jak tytuł filmu science fiction. A kiedyś, nie tak dawno, takie określenia były na porządku dziennym i nie wywoływały dwuznacznych skojarzeń. Później wojskowy lazaret dla żołnierzy księcia Poniatowskiego, cerkiew prawosławna, siedziba Naczelnego Dowództwa Ludowego Wojska Polskiego, prosektorium i laboratoria woskowania ciał, zanim obiekt trafił w objęcia kultury. Prosektorium! A przecież to jeszcze nie koniec ewolucyjnych zmian, czas nie postawił nad „i” kropki i jeden Bóg wie, co kiedyś tu jeszcze może być.

Więc w tym nieistniejącym już MDK-u na nieistniejącej już ulicy Pstrowskiego w niedzielne listopadowe przedpołudnie poznał swoją żonę. Zaczynało się spotkanie z Józefem Szajną, zamykano drzwi. Stała z papierosem w dłoni na korytarzu, wtedy jeszcze nie ograniczano obywatelskich swobód, można było palić w miejscach publicznych, nawet w tym celu w specjalnych wnękach ustawiono popielniczki. Dziś nie pamiętał, czy nosił już brodę i czy jego włosy były krótkie, czy długie, czy było zimno, czy ciepło, chociaż w listopadzie z reguły spada temperatura, za to do dziś w jego pamięci tkwi tamten obraz: czarne, rozszerzane dołem spodnie, czarny obcisły sweterek, który uwypuklał piersi, kiedy odchyłała do tyłu głowę, i czarna aksamitka, która próbowała zapanować nad niesfornymi, mającymi skłonność do skręcania się włosami w kolorze dojrzewającego łanu żyta. Jej oczy śmiały się prowokacyjnie.

Za nic miał te nedorzeczne opowieści o miłości od pierwszego wejrzenia. Uważał, że coś podobnego w prawdziwym życiu nie może się zdarzyć. Teraz brał za swoje. Bał się poruszyć ręką lub nogą, żeby nie spłoszyć widzenia.

Jego reakcja sprawiła jej przyjemność. Musiało to trwać chwilę, nim znudziła się jej ta zabawa i zdecydowała się go odczarować: starannie zgasiła papierosa, podeszła i wspinając się na palce pocałowała go w policzek. [...]

Swoją epizodyczną, ale jakże ważną rolę w tym trwającym bez przerwy od ponad czterdziestu lat serialu odegrał Szajna. Obojętnie jak się to będzie nazywać: żartem opatrności, ironią losu, pretensjonalnością zdarzeń, chwilową egzaltacją, siłą wyższą – i tak będzie chodziło o to samo. Widząc ich w drzwiach, niepewnie rozglądających się w poszukiwaniu miejsca, pomachał ręką i zaprosił na scenę do swojego stolika. Był bożyszczem, guru od teatru i na spotkaniach z nim sala zawsze była nabita do ostatniego miejsca.

– Ma gość u mnie plusa – wyciągnął rękę i pomachał w geście, który miał przypominać powitanie.

Nie pamiętał, czego dotyczył wykład, nie pamiętał pytań z sali ani odpowiedzi, wszystko to zeszło na drugi plan. Uświadomił sobie, że nie może zdać się wyłącznie na przeznaczenie, za chwilę spotkanie się skończy i nastąpi raptowny zwrot akcji: będzie musiał zejść na widownię i wrócić na ziemię. Paraliżowała go nieśmiałość, ale bez względu na ryzyko i ostateczny rezultat, musiał zdobyć się na działanie. Był to sobie winny. Okoliczności i miejsce zobowiązywały go do gry według teatralnych reguł.

Wiedział, że scena, sytuacja, w której się znaleźli, wyklucza gwałtowne reakcje. To drugie, czyli znany już dzisiaj ze szczegółami ostateczny rezultat, wtedy jednak nie był przesądzony, i żeby przechylić szalę, sięgnął ukradkiem do jej dłoni. Jej oczy pociemniały z

gniewu, próbowała, nie zwracając uwagi Szajny, wyrwać mu rękę. Wykorzystał to, by zsunąć z jej palca pierścionek. Wtedy nie wiedział, że był to pierścionek zaręczynowy. Gdyby wiedział, być może by zrezygnował.

Tej nocy nie mógł zasnąć, ale nie z powodów, o które by można go posądzać. Przeszkadzał mu spuchnięty, może nawet złamany nos, i rozległy, podchodzący krwią siniak na policzku: rezultat nieco nerwowej interwencji narzeczonego, studenta weterynarii, to po pierwsze. Po drugie miał temat do rozmyślań: wkradł się w łaski Izy, studentki z tego samego roku, inteligentnej i nieco złośliwie komentującej miłosne ekscesy swojej serdecznej przyjaciółki, by dowiedzieć się, co studiuje i gdzie mieszka. Nic mi nie mówiła nazwa ulicy – Leszka Czarnego, do tego nie zdobył dokładnego numeru domu, w którym mieszkali, więc na wszelki wypadek postanowił całą ulicę pomalować farbami, kiedy tylko dostanie stypendium. Według zasady: kuć żelazo póki gorące. Trochę zmartwił go fakt, że studiuje polonistykę, przedstawicieli nauk filologicznych omijał z daleka, nie był najlepszego zdania o ich przymiotach umysłowych, ale jego prywatna ocena była w tej sytuacji najmniejszym problemem – zawsze jednak mógł zmienić zdanie. Ale to trzecie było najważniejsze – kiedy oszołomiony ciosem narzeczonego podnosił się z trawnika i jako tako odzyskał równowagę, pocałowała go, i to był drugi pocałunek tego dnia. Zupełnie inny od tego pierwszego, kiedy pocałowała go w policzek.

Dziś już wiedział, że to nie mężczyzna wybiera sobie kobietę, ta sfera decyzji jest wyłączną domeną przeciwnej strony. W co kobiety pozwalają wierzyć mężczyznom, to zupełnie inna sprawa. Można by pomyśleć, że już wszystko zostało powiedziane. Jednak to błąd. Nie oddał pierścionka. W nagłej desperacji, pod wpływem fizycznego bólu, urażonej ambicji, słodczy nieoczekiwanego pocałunku, wywołującego, zupełnie nieadekwatne do sytuacji, podniecenie, tej niebezpiecznej jak nitrogliceryna wybuchowej mieszanki postawił wszystko na jedną kartę.

– Pierścionek za noc, będziesz musiała się ze mną przespać – przestraszył się swoich słów, nie chciał, by zabrzmiało to tak brutalnie i cynicznie.

Uderzenie w zraniony policzek było tak silne, że znów pociekła mu krew z nosa, w oczach zakręciły się łzy. W jej spojrzeniu była pogarda i gniew, zrobiła gwałtowny zwrot i zaczęła oddalać się szybkim, zdecydowanym krokiem. Nie zdążył zareagować, oszołomiony szybkością, z jaką następowały zwroty sytuacji: chciał przeproszać, biec za nią, tłumaczyć, że to żart, ale nim pozbierał myśli i podjął decyzję, nagle zatrzymała się, odwróciła i stawiając nogi z tą samą energią, wróciła na trawnik przed akademikiem, który wystąpił w roli tak zwanego „miejsca akcji”. Był przygotowany na najgorsze.

– Kiedy? – spytała.

Dworzec kolejowy, przynajmniej z zewnątrz nie bardzo się zmienił od czasu, kiedy umówił się tu z Ewą. Nie bardzo wierzył, że przyjdzie, czekał na nią po wykładzie, żeby powiedzieć, że zarezerwował telefonicznie pokój w hotelu w Puławach.

– Dobrze, jestem teraz zajęta – jakby brakowało jej wyobraźni, nie docierało do niej znaczenie tego, że spędzą ze sobą noc. Nie zdążył zadać jej pytania, w którym miejscu dworca ma na nią czekać.

Wystawi mnie do wiatru, jestem naiwny jak dziecko, nie przyjdzie, dlatego mnie zbyła – myślał, stojąc na środku dworcowej hali. – Pociąg, żółto-niebieską jednostkę podstawiono dobre piętnaście minut temu, pasażerowie już wsiedli, lada chwila ogłoszą, że odjeżdża. Miałem rację, że nie kupiłem biletów.

Dobrze się łudzić i stąpać w obłokach, ale praktyczniej trzymać się ziemi – z torbą na ramieniu odwrócił się do drzwi, kiedy ktoś szturchnął go w plecy.

– Bo odjedzie! – nie wierzył własnym oczom.

– Cholera – wymamrotał.

– Rusz się! – pociągnęła go za ramię.

Cholera – wciąż wydawało mu się, że śni.

Kiedy wbiegali z tunelu na peron, konduktor już podnosił rękę z czerwoną chorągiewką.

– Musiałam wziąć taksówkę, ale dobrze, zdążyłam, kupiłeś bilety? – to wszystko wyrzuciła z siebie jednym tchem. Wyglądała tak samo, jak kiedy ją po raz pierwszy zobaczył w domu kultury. Wydała mu się jedynie nieco drobniejsza i niższa.

– Nie – zdziwił się sobie. – Nie wiedziałem, czy przyjdiesz.

– Przecież powiedziałam – popatrzyła pytająco.

– Kupię u konduktora.

– Miałam ciężki dzień, obudź mnie, jak dojedziemy na miejsce – zamknęła oczy i wydawało się, że zamierza spać.

– Myślałem, że pogadamy – zaprotestował nieśmiało.

– O czym? Idź kupić bilety – nawet nie otworzyła oczu. – Chyba że już teraz zwrócisz mi pierścione, wtedy zdążę wysiąść w Nałęczowie.

Kiedy wrócił z biletami stała w przejściu i paliła papierosa.

To co? – spytała, kiedy pociąg zatrzymał się na stacji w Sadurkach. – Bo to jeszcze dwa przystanki. Jak będzie?

– Jutro rano – uświadomił sobie, że nie wie, czy zabrał pierścione. Z tego wszystkiego całkiem o nim zapomniał.

Starsza kobieta w granatowej garsonce dyżurująca w recepcji popatrzyła podejrzliwie, kiedy położył dowód na kontuarze. Sprawdziła miejsce zameldowania. Jeszcze raz przyjrzała się fotografii.

– A ta kobieta? – spytała – Żona?

– Nie – odpowiedziała Ewa.

– To może dam dwa pokoje? – zaproponowała, zwracając się do Ewy, i odwróciła się do półki z przegródkami na klucze.

– Mam akurat przypadkiem wolne.

– Wystarczy jeden, ale żeby były dwa łóżka.

– Jeśli takie życzenie! – wzruszyła ramionami z jakimś niesmakiem. – To w takim razie drugi dowód poproszę.

Pokój na szóstym piętrze był zaskakująco duży, jak na pokoje hotelowe. Granatowa, dywanowa wykładzina w srebrne gwiazdki harmonizowała z atlasowymi czerwonymi narzutami i takimi samymi zasłonami.

– Jak w burdelu – powiedziała – biorę łóżko pod oknem. Muszę wziąć prysznic, bo padam – wyciągnęła z torby dużą kosmetyczkę, chwyciła ręcznik i wyszła do łazienki.

Osunął zasłonę. W dole pulsowało miasto. Neon na dachu rzucał czerwoną poświatę w ciemność przed oknem, wszystko wyglądało jak w gorączce.

– Cholera – nie mógł się sobie nadziwić.

– Możesz zająć łazienkę. Odwróć się – zrzuciła ręcznik, w który była owinięta i wsunęła się pod kołdrę. – Włącz lampkę na biurku i zgaś światło.

Kiedy wrócił, w pierwszej chwili pomyślał, że śpi. Podeszedł do łóżka, ale oczy miała otwarte. Próbował wsunąć się pod kołdrę, ale przytrzymała ręką jej brzeg.

– Umówiliśmy się na wspólna noc i nic więcej. Masz swoje łóżko – powiedziała.

– Nie! Nie tak, będę tu siedział, dopóki mnie nie wypuścisz – wychrypiał ze zdenerwowania.

– To sobie siedź – odwróciła się plecami – tylko mnie nie budź.

– Zimno mi – to było wszystko, na co go było stać.

– Dobrze, chodź – musiało minąć może pięć minut, zanim znów się odwróciła i zrobiła mu miejsce. – Tylko łapy przy sobie.

Była gorąca, pachniała rumiankiem.

– Boże!

– Co?

– Jak dobrze – położył rękę na jej biodrze.

– Powiedziałaś łapy przy sobie!

– Dobrze, już dobrze – uniósł się na łokciu i poszukał wargami jej ust. Całował ją i całował, aż zabrakło mu powietrza w płucach.

– Kiedy musi już tak być, to chodź – rozchyliła uda, gdy oderwał się wreszcie od jej ust.

Wracali osobowym pociągiem, uparła się, że kupi bilety.

– Wiesz – powiedziała, kiedy pociąg ruszył – tak dobrze może być kobiecie tylko raz w życiu i to chyba jedynie w filmie.

– Skąd wiesz? – był zdziwiony jej słowami – zawsze tak będzie.

– Pierścionek – wyciągnęła rękę.

– A co jak nie oddam? – pomyślał, że pierścionek daje mu jednak nad nią władzę.

– To stracisz wszystko. Ja dotrzymałam słowa.

– Żartowałem – wyciągnął pierścionek z kieszonki na piersi i włożył jej na palec.

– A więc tak, nie zobaczymy się więcej. Teraz na przerwę świąteczną wyjeżdżam do Zakopanego z narzeczoną i zostaję do Sylwestra. A na Wielkanoc wychodzę za mąż.

– Nie, to niemożliwe – zaprotestował. – Zostaniesz moją żoną! Rozumiesz?!

– A to połowa za hotel – Sięgnęła do portmonetki i wyjęła jakieś pieniądze.

– To dlaczego ze mną spałeś?! To było dla mnie święte! – krew uderzyła mu do głowy.

– Żebyś oddał mi zaręczynowy pierścionek. – Odpowiedziała i odwróciła się w kierunku okna. – Jesteśmy rozliczeni.

Nie dzwoń, nie proś, nie tragizuj, jednym słowem nie ośmieszaj się. Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr.

FRAGMENT

Wojciech Pestka *Mój mąż frajer*